

ANDRZEJ
MULARCZYK

KOCHAŁO

ABŁO RZUĆ



INSPIRACJA DLA KULTOWEJ KOMEDII

ANDRZEJ
MULARCZYK

KOCHAŁO

ABŁO RZUĆ



INSPIRACJA DLA KULTOWEJ KOMEDII

Andrzej Mularczyk

Kochaj albo rzuć

Saga

Kochaj albo rzuć

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1994, 2021 Andrzej Mularczyk i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726878714

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

1

... Spytam go: Kochasz? Jeśli kochasz — to puść! Daj mi szansę! No tak, kochać to on kocha. Sam przecież w kółko powtarza, że zakochał się we mnie jak kot w wiosennym słońcu, ale jego zazdrość jest jak odbezpieczony granat! A jak się nie zgodzi? A gdy powie: „Nigdy cię tam samej nie puszcze? Zostań albo rzuć!” Co wtedy? Zrezygnować? Z czego? Z Ameryki czy z Zenka? O Boże, dlaczego muszę wiecznie wybierać? Może tylko raz w życiu ma się szansę zostać Krzysztofem Kolumbem. Jeśli kocha mnie naprawdę, to puści. Powiem mu: Jeśli ktoś kogoś kocha, to chce tego samego, czego pragnie obiekt jego miłości. Ja chcę pojechać na podbój świata. Nie zgodzisz się — znaczy, że bardziej ode mnie kochasz siebie! Nie masz innego wyboru: jeśli mam uwierzyć, że mnie naprawdę kochasz, to musisz mnie puścić, I radzę ci: kochaj, bo inaczej cię rzucę ...

Takie myśli przebiegały przez głowę Ani, która telepiąc się w rozprężonym słońcem autobusie PKS w gruncie rzeczy zmierzała w stronę swego przeznaczenia. Kluczem do niego była obietnica zaproszenia do Ameryki.

... Wziął łapówkę gładko, nawet okiem nie mrygnął, chyba jako człowiek na urzędzie to ten drań sobaczy swój honor ma i porządnego człowieka nie oszuka? Ja, człek rzetelny, z języka świdra nie robię, obiecałem wsówkę dać — to i słowa dotrzymałem. Eee, zresztą na wójta nie można narzekać, każdy wie, że to bezlitośnie uczciwy człowiek. Brać — bierze, ale jak nie da rady przyłatwić eternitu na dach czy cementu albo tregrow na budowę, to kopertę ze wsówką zwraca. Aj, Bożeńciu, świecę przed ołtarz

zafundujem, że Ty nam pomógł w skuteczną kolaborację z urzędem wejść. Teraz należy się raz-dwa wysłać Zenka z harmonią pieniędzy, żeby magazyniera Fąfarę do nieprzytomności doprowadził i jutro z samego rana sam wybrał maszynę najmniej felerów mającą, bo przecie na taką bez felerów trafić to jak na człowieka bez grzechu. Ale co innego pęknięty reflektor, a co innego pęknięty blok silnika, jak to się Sierocińskiemu zdarzyło, choć przecie jego szwagier w powiecie silnie partyjny. Gorzej, że ciągnik podlega reklamacji, ale łapówka nie. Aj, Bożeńciu, kiedy nareszcie takie czasy nastaną, żeby chłop mógł swój dobrobyt podnieść, a nie zgrzeszyć przy tym i ruptury nie dostać?

Takie myśli kłębiły się pod maciejówką Kaźmierza Pawlaka, który wiercił się niespokojnie na ramie roweru, czując na swoim karku gorący oddech sapiącego z wysiłku Kargula.

W podręczniku na drugą klasę darmo by szukać odpowiedzi na pytanie, o której godzinie i na którym kilometrze drogi zderzą się ze sobą autobus PKS oraz poniemiecki rower męski bez dzwonka, jeśli oba te pojazdy jadą jedną drogą z przeciwnych kierunków. Autobus wyruszył z Wrocławia o godzinie 16⁴⁵, rower zaś spod Urzędu Gminnego w Lutomyślu o godzinę później. Autobus Jelcz był napędzany silnikiem diesla, rower siłą nóg Władysława Kargula.

Każda minuta zbliżała moment nieuchronnego zetknięcia się tych dwóch pojazdów.

Dla Ani autobus włókł się zbyt wolno. Jak najszybciej chciała się podzielić z najbliższymi wiadomością, jaką to wielką szansę dał jej los: pojedzie do Ameryki i zarobi dolary na traktor dla rodziny!

Posuwający się na jednym rowerze Kargul i Pawlak też chcieli jak najszybciej dotrzeć do domu, by ogłosić rodzinie

triumfalną wieść o przyjętej wreszcie łapówce. To pociągało za sobą konieczność wysłania eksperta z zadaniem upojenia magazyniera Fąfary, co pozwoli pozyskać sobie jego przychylność przy odbiorze Ursusa C-330.

... Kto wie, może to Ania ten ciągnik załatwiła, na tę pielgrzymkę do Częstochowy pojechawszy? Ot, szczęście, że na stolicę Piotrową nasz rodak wstąpił, bo już z tą partią bezlitośnie trudnowato było względem przydziału ciągnika dogadać się! Może być, że nasza wnusia, spotkawszy Ojca świętego pod Jasną Górą, szepnęła jemu, żeby On za nami przed tym najwyższym Urzędem wstawił się! Ot, prawdziwe szczęście, że Ania na tę pielgrzymkę pojechała...

Pedałując z wysiłkiem Kargul rozważał w myślach problem, na jakim szczeblu zapadła decyzja o przydziale ciągnika. Wiercący się niecierpliwie na ramie Kaźmierz utrudniał mu myślenie i utrzymanie równowagi.

Ania i jej dziadkowie zbliżali się ku sobie jak dwa pociągi na jednym torze. To się musiało źle skończyć. Jeśli naszym losem nie rządzi przeznaczenie, w takim razie zastępuje je rozkład jazdy autobusów.

Ania już w wyobraźni przeżywała tę chwilę, gdy wpadnie na podwórze w Rudnikach i ogłosi wszystkim radosną wieść, że nie tylko widziała na własne oczy Jana Pawła II, ale spotkała w Częstochowie kogoś, kto w 487 lat po Kolumbie pozwoli jej odkryć dla siebie Amerykę! Przywiezie stamtąd dolary na nowiutki traktor! To chyba ostatecznie przekona Zenka, żeby nie stawiał przeszkód. Na szczęście ten, kto obiecał jej przysłać zaproszenie, zna Johna Pawlaka z Chicago; skoro brat dziadka Kazimierza nie reagował na listy, w których Ania wyraźnie dawała do zrozumienia, że chciałaby odwiedzić „dziadka Johna”, to teraz skorzysta z zaproszenia mister Septembra: „Przyślę ci zaproszenie za

trzy tygodnie — obiecał. — Możesz przyjechać do Chicago w jesieni i tam się znów spotkasz z papieżem”.

... Tak, to też może być argument, który ułatwi mi przekonanie Zenka. Jak babcia Marynia i Anielcia usłyszą, że Ojciec święty będzie jesienią w Chicago, na pewno poprą mój wyjazd! To będzie jakby druga część pielgrzymki, tylko że na tej krajowej straciłam, bo mi pod Jasną Górą ukradli z szyi złoty medalik, za to na tamtej, amerykańskiej, to się odkuję...

... No, być chłopem to kłopot serdeczny, ale trzeba przyznać, że odkąd Gierek nastał, to władza coraz dalej idące zrozumienie wykazuje i bardziej ludzka stawszy się. Za Gomułki trzeba było protekcję mieć, żeby chcieli od ciebie łapówkę wziąć, a za Gierka władza zgodnie z hasłem „Naród z partią — partia z narodem” — chętniej bierze, żeby ten socjalizm także więcej ludzkie oblicze miał...

Pawlak doceniał fakt, że władza wychodziła naprzeciw społeczeństwu. Teraz, kiedy wracali z Urzędu Gminnego do domu, pod jego maciejówką kłębiły się pytania, czy aby nie za dużo włożył do koperty; pod kapeluszem Kargula rodziła się obawa, czy aby Kaźmierz nie uzna zdobycia traktora jedynie za swój sukces, skoro jemu kazał pilnować roweru, a z kopertą do gminy sam polazł, twierdząc, że żadna władza nie lubi, jak jej się patrzy na ręce, a już szczególnie w chwili wręczania łapówki.

— Kręci się na tej ramie, jakby robaki miał — Kargul ofuknął swojego pasażera.

— A ty przyciśnij na pedały, bo wleciesz się jak na czyn społeczny!

Kaźmierz spoconymi dłońmi ścisnął kierownicę, jakby było rzeczą oczywistą, że to on — choć jedzie na ramie — kieruje rowerem, Kargul zaś tylko kręci nogami. Spod

kłapciatego ronda kapelusza z czoła Kargula ściekały strumyki potu.

— Pod górę ciężko — wysapał, łapiąc z trudem oddech.

— Pod górę, ale z wiatrem — Pawlak bez wahania oddalił jego skargę. — Tobie zawsze ciężko. Jak ja by we wojnę tak pomału nogami przebierał, to ja by dawno trawą porósł!

— Może się pomieniamy? — zaproponował Kargul, zwalniając nieco na zakręcie. — Teraz ja na ramę pójdę.

— Ot, pomorek — Pawlak niespokojnie zerknął przez ramię na Kargula. — Przecie we dwóch na jedne rame nie wliziem! Zresztą ty wagę masz jak stary kaban!

— Awo! Powiedz lepiej prawdę, że ty nogami do pedałów nie sięgniesz!

Oj, nie w smak była Kaźmierzowi ta uwaga sąsiada. Zagryzł usta, ale nie myślał zrezygnować z kierowniczej roli. Na wysokości kapliczki z Panem Jezusem Frasobliwym polecił Kargulowi skrócić w lewo: pojedą na skróty przez miedzę Sierocińskiego!

— Miedzą nie dam rady z tobą tarabanić sia! — oponował Kargul.

— Kręć lepiej nogami, to dasz radę!

— Ot, radzak się znalazł — Kargul sapał równocześnie ze zmęczenia, jak i ze złości. — Ja kręcę nogami, a ty językiem!

— A bodaj cię, bambaryło! — Kaźmierz nacisnął maciejówkę na głowę i ujął mocniej kierownicę. — Z tobą za pogrzebem iść, a nie o przyszłość rodziny walczyć!

Sam ostro skrócił kierownicę w lewo, by zmusić Kargula do wjechania na miedzę Sierocińskiego. W tym momencie Kargul ujrzał wyłaniający się zza zakrętu autobus PKS. Rozległ się ochrypły dźwięk sygnału.

Autobus zbliżał się, a na środku drogi raz w prawo, raz w lewo kolebał się rower z dwoma mężczyznami. Ten na siodełku starał się pozostać po prawej stronie jezdni, zaś

ten na ramie wszelkimi siłami skręcał kierownicę w lewo; rower przez chwilę balansował na jezdni jak nakręcony dziecinny bąk, który traci już siłę rozpędu; autobus zbliżał się, trąbiąc przeraźliwie; oczy kierowcy wyszły nieomal z orbit, jego prawa noga deptała hamulec; jęcz posuwał się skokami; z półek posypały się bagaże.

Na głowę Ani spadła czyjaś siatka; pęknięte torby wyzwoliły kaskadę perłowej kaszy i cukru, które pokryły pasażerów białym płaszczem; Ania zerwała się, ale w tym momencie kierowca wykonał unik i siła bezwładu rzuciła ją na kolana siedzącego w sąsiednim rzędzie foteli żołnierza, który przyjął tę niespodziankę nader życzliwie...

Autobus z rozpaczliwym trąbieniem przemknął łukiem tuż obok tarasującego środek jezdni roweru. Uderzenie powietrza zmiotło z asfaltu rower wraz z jego pasażerami.

Kiedy Ania, wyswobodziwszy się z ramion żołnierza, obejrzała się za siebie, ujrzała przez tylną szybę pustą szosę. Nie miała czasu na dalszą obserwację, bo poczuła na swoich dłoniach gorący pocałunek żołnierza, który zlizując cukier z jej rąk zapewniał ją, że tak słodkiej dziewczyny nigdy jeszcze w życiu nie spotkał...

Autobus zniknął już za zakretem, gdy z rowu wyłonił się na czworakach zakurzony Pawlak i zaczął wygrażać pięścią niewidocznemu jęczowi.

— Ty czorcie łabajowaty! — darł się, pryskając śliną. — Jeszcze ty popadniesz w moje łapy! Żeby ty łaził po wodzie i pić prosił!

— Ot, gorączka człek! Prosto jak ten twój brat, Jaśko! — Kargul nasadził kapelusz, patrząc na Pawlaka jak na szaleńca. — Taż my cudem ocaleni!

— Czekaj no, już ja tobie kwit wystawię! Patrzaj, co z rowera zostało!

Na dnie rowu leżało to, co jeszcze przed chwilą było rowerem: pogięte w ósemki koła, wykrzywiona kierownica, urwany pedał, skręcone jak baranie rogi błotniki. Kargul patrzył na to żelastwo, jak pasterz patrzyłby na obgryzione przez wilki kości barana.

— Żeby ciebie wilcy — spojrzał ponuro na Kaźmierz, który otrząpywał kolana z ziemi i kurzu. — Na skróty jemu zachciawszy się i tak mogli my prostą drogą do pana Boga trafić!

— Owa! Jemu taki bambaryła potrzebny jak zającowi dzwonek u ogona! — Kaźmierz wcisnął spodnie w cholewy i podreptał żwawo miedzą Sierocińskiego. — Zabieraj się z tym złomem!

— Oczadzia?! — zaprotestował Kargul. — Razem na rowerze my jechali, a teraz jeden ma jego nieść?!

Kaźmierz nawet się nie zatrzymał. Machnął ręką, jakby się odganiał od uprzykrzonej muchy.

— Taż ty kierował, to teraz jego targaj!

— Ot, bestyjnik! — sapał Kargul, wyciągając z rowu pogięte żelastwo. — Z tobą gadać to jakby, plewy młócił!

Pawlak zniknął za kępą wierzb. Kargul pomacał przednie koło, które swym kształtem przypominało precelek, i zawiesił ramę roweru na ramieniu, ruszając w ślad za Pawlakiem. Gryzło go, że ten konus jak zawsze będzie pierwszy i zdąży zebrać miód sukcesu, nim on dotelepie się na miejsce...

2

Przez łąki zielone, przez pola złocące się już dojrzewającym zbożem biegła drogą na skróty Ania. Tak się spieszyła, że zamiast ominąć pastwiska PGR-u, przechodząc między kolczastym drutem, rozdarła sobie bufiasty rękaw kwiecistej sukienki, w której witała pod Jasną Górą Jana Pawła II. To o tej sukience powiedział mister September, że „jest jak wiosna jego dzieciństwa”. Teraz jej strzęp został na drucie. Ania biegła, odprowadzana sennym spojrzeniem stada krów.

Z daleka niosło się klekotanie bocianów. Na stodole Pawlaków żyła bociania rodzina i teraz Ania miała wrażenie, że bociany pozdrawiają ją z daleka, bo przeczuwają jej odlot do dalekich krajów! Pomachała bocianom na powitanie i wpadła na podwórze z głośnym wołaniem: — Ludzieeee! Gdzie jesteście?! Posłuchajcie dobrej nowinyyyy!

Rzuciła podróżną torbę pod studnię.

Na ganek domu Kargula wyjrzała Anielcia w fartuchu, z ganku Pawlaków patrzyła w stronę wnuczki Marynia, mocząc obolałe stopy w misce, jakby to ona, a nie jej wnuczka wróciła z pielgrzymki. Ania wirowała na środku podwórza, trzymając za pasek torebkę, z której wyfruwały różne drobiazgi: szminka, grzebień, długopis, okulary słoneczne... Wirowała dalej jak na karuzeli, dopóki nie chwycił ją w ramiona Zenek.

— Z czego tak się cieszysz? Żeś papieża widziała?

— Nie! Że pojedę do Ameryki! — szczerze wyznała pątniczka.

— A kto cię tam zaprasza? — mruknął Zenek, któremu od razu wydała się mocno podejrzana ta eksplozja radości.

Tego się właśnie obawiała, że Zenek sprzeciwi się tej podróży, że będzie robił wszystko, by odciąć ją od tej wielkiej szansy, która właśnie objawiła się jej pod Jasną Górą. I teraz, zamiast relacji o spotkaniu z papieżem, Marynia, Anielcia i Zenek musieli wysłuchać informacji o spotkaniu z człowiekiem, który chciał przed nią otworzyć wrota do wielkiego świata. Bo muszą wiedzieć, że pod Jasną Górą spotkali się Polacy z całego świata, a wśród nich był też mister September...

Uśmiech Zenka powoli gasł. Anielcia z Marynią patrzyły po sobie, nie rozumiejąc, do czego zmierza ich wnuczka.

— Kto to jest „mister September”?

— Prawnik z Chicago.

— Może to handlarz żywym towarem?

Ania starała się storpedować podejrzliwość Zenka, pokazując mu wizytówkę mister Septembra, który miał biuro prawnicze i w dodatku zna dziadka Johna z Chicago. Kiedy September usłyszał od Ani, że ona ma w Chicago stryjecznego dziadka Pawlaka, sam spytał, czy ma na imię John i czy pochodzi spod Trembowli. Okazało się, że obaj należą do Towarzystwa Synów Piasta i że on, jako doradca prawny Johna, doradził mu, by ten w swoim domu, w którym ponoć przebywał kiedyś Ignacy Paderewski, otworzył klub polonijny. I dlatego on, mister Teddy September, obiecuje Annie Adamiec z domu Pawlak przysłać zaproszenie do Ameryki na otwarcie klubu.

— Zrobił ci wodę z mózgu, a ty mu uwierzyłaś?

Jak miała nie uwierzyć człowiekowi z fajką w ustach i aparatem polaroid zawieszonym na szyi? Proszę, mogą sami sobie obejrzeć jego zdjęcie. Pstryknął — i wyjął gotową, kolorową fotografię!

Nie, Ania nie miała najmniejszych wątpliwości, że może ufać Teddy'emu Septembrowi; przyjechał do Polski pierwszy raz na spotkanie z papieżem i Ojczyzną, a kiedy się poznali w tłumie oczekującym na przyjazd Ojca Świętego, uznał ją za symbol tej Polski, do której tęsknił od czterdziestu lat. Obiecał, że przyśle jej zaproszenie i gwarantuje pracę w Chicago. Ania zarobi tam tyle, że Zenek kupi bez łaski ciągnik w Peweksie. Nie powiedziała tylko jednego: że mister September zrobił jej drugie zdjęcie, które zabrał ze sobą, by pokazać je swemu synowi. Może September-Junior, gdy zobaczy tak urodziwą dziewczynę, zmieni swój indyferentny stosunek do Polski i Polek. Pragnieniem mister Septembra jest zachęcić syna do polskości, a czy może być lepsza metoda niż wykorzystać różnicę płci?

Ania wcale nie ukrywała faktu, że jest mężatką, ale to bynajmniej nie zniechęciło mister Septembra: te rodaczki, które odwiedzają Chicago, najczęściej przypominają sobie swój stan cywilny dopiero w powrotnym samolocie do Warszawy...

Tego oczywiście Ania nie powtórzyła Zenkowi, ten jednak, jakby czytał w jej myślach, pokręcił przecząco głową.

— Odpada! Nigdzie nie pojedziesz!

— Kochasz mnie?!

— Bo co?

— Bo jak kochasz, to mnie puść!

— Właśnie dlatego, że cię kocham, to nie puszczę!

— To stracisz!

— Ciebie?

— Traktor!

— Traktor? — patrzył zdumiony. — A co ma do tego traktor?!

— Ja bym tam zarobiła na ciągnik!

Wiedziała, że o tym traktorze marzyli zarówno dziadkowie, jak i jej mąż. Uważała, że to powinien być główny argument, który mógł jej otworzyć drogę do Ameryki.

W tej chwili rozległo się gęganie spłoszonych gęsi i na podwórzu wkroczył zdyszany Pawlak.

— To dziadek żyje! — ucieszyła się Ania, przypomniawszy sobie w tej chwili scenę na szosie.

— Awo. Jeszcze jak! — potwierdził Kaźmierz, dumny z efektów misji w urzędzie. — Ciągnik załatwiony!

— Widzisz?! — Zenek z wyrazem triumfu spojrzał na Anię: — Już nie musisz się męczyć w tej Ameryce! Wszystko załatwione!

— Ot, dziecmoli — ofuknął go Kaźmierz. — Wszystko to będzie załatwione, jak magazyniera Fąfarę on doprowadzi do nieprzytomności przy pomocy brymuchy!

— Jeszcze nie dostałem traktora, a już mam mu stawiać?

— Ot durny, że tylko w telewizji jego pokazywać! Niby aktywista, politycznie uświadomiony, a nie wie, że u nas z góry płaci się za to, co ma dopiero być?! Galopem leć i trzeźwy mi nie wracaj!

Popchnął Zenka w stronę bramy: nie ma czasu do stracenia, musi jeszcze dziś dopaść Fąfarę i spoić go tak, żeby jutro nie przeszkadzał przy wyborze ciągnika. Nieeh weźmie słodką wódkę, bo to i elegancko i głowa dłużej boli...

— Zenek! — zawołała Ania, ale chłopak machnął tylko ręką i już był za bramą. Zrozumiała, że jej jedyny konkretny argument: że tam zarobi na traktor z Pewexu — przestał cokolwiek znaczyć. Jutro mieli dostać ciągnik. Ale nie zamierzała ustąpić: są jeszcze sposoby, żeby zmiekczyć nawet zazdrosnych mężów. Zaczęła dzielić się wrażeniami z wyjazdu do Częstochowy, gdy w bramie stanął Władysław Kargul z rowerem na ramieniu. Patrząc na skrzycone w

ósemkę przednie koło, Anielcia przeżegnała się szerokim krzyżem.

— Władys, kto cię tak urządził?

— Ano ten, co chce być zawsze mądrzejszy. Ja pedałużę, a on kierować chce!

Jego spojrzenie spod okapu kłapciatego kapelusza wskazywało wymownie, kogo ma na myśli. Pawlak wzruszył tylko ramionami i zmierzył sąsiada od stóp do głów.

— Ot, pomorek. Sięga do powały, a do życia niezdąły! — ogarnął ramieniem wnuczkę. — Ciesz się, dziewuchna, że ty się w tamtego dziadka nie wdała.

— Z czego mam się cieszyć? Ja chciałam do Ameryki jechać, a Zenek mi nie daje.

Pawlak, wysłuchawszy jej relacji o spotkaniu z mister Septembrem, wziął stronę Zenka.

— Na cóż tobie tam pchać się, jak ty u nas za tego dolara pięć razy więcej kupisz jak u nich?! Taż to jedyna wyższość tego socjalizmu nad kapitalizmem, że u nas dasz te 30 dolarów wsówki i już masz traktor!

— To dziadek dał łapówkę?

— A cóż ona raptem taka zadziwiona?

— Przecież to przestępstwo! Można do więzienia trafić.

— Aj, Bożeńciu, jakby za to wsadzali, to w Polsce by była bezlitosna pustynia! A dzięki Bogu i Gierkowi po to mamy front jedności narodu, żeby każdy na swoje wyszedł.

— Ale wodzić kogoś na pokuszenie to grzech!

— Taż chyba ona po to na te pielgrzymkę pojechała, żeby wszystkie nasze grzechy na rok z góry odkupić!

3

... Całe szczęście, że on po alkoholu robi się taki namiętny. To jedyna zaleta wódki: jak się napije, staje się wulkanem miłości! Ale dziś ugaszę największą nawet eksplozję! Jeszcze nie wiesz, Zeniu, że każda kobieta ma niezawodną broń. Dowiesz się, jak tylko zjawisz się w naszym pokoiku. Dotąd było to dla ciebie słodkie gniazdko miłości, ale dziś czeka cię srogie rozczarowanie. No, chyba że zmienisz zdanie i puścisz mnie do Ameryki. Wiem, zaraz mi powiesz, oczywiście, że zbyt mnie kochasz, żeby się zgodzić na rozstanie. A ja ci na to odpowiem: Jeśli kochasz — to puść! A jeśli nie? Jeśli powie: „Po moim trupie? Wystarczy, że cię na pielgrzymkę puściłem!” Wtedy ten aktywista młodzieżowy dowie się, że nawet w PRL-u jest jeden rodzaj strajku, który nie jest zakazany. Strajk małżeński!

Takie myśli kłębiły się w głowie Ani, gdy skulona siedziała na tapczanie w nylonowej koszulce nocnej, obejmując rękoma kolana. Była tak zdeterminowana jak wówczas, gdy po nie zdanym egzaminie na uniwersytet podjęła próbę samobójczej śmierci w zimnej toni wypełniającej wyrobiska starych kamieniołomów. Wówczas z ramion śmierci wyrwał ją Zenek. Los w nagrodę dał mu ją jako towarzyszkę życia. Ale przecież nie dał jej mu na własność. Chyba każdy ma prawo skorzystać z oferty losu? A jeśli ją spyta, dlaczego miałaaby jechać tam sama? Co mu odpowie? Przecież nie przyzna się, że mister September, który tak zabawnie przeciąga polskie zgłoski, jakby starał się przypomnieć sobie ich brzmienie, zanim skończy słowo, pragnął przy jej pomocy zachęcić swego syna do polskości!

Nie, tego mu powiedzieć nie mogła. Najlepszym argumentem na złagodzenie oporu Zenka będzie mimo wszystko strajk!

Księżyc wlewał się na poddasze przez okienko, a ona z podkulonymi kolanami obmyślała taktykę walki o swobodę swoich decyzji. Skoro otrzymała obietnicę zaproszenia właśnie w trakcie spotkania z papieżem, to chyba wraz z Jego błogosławieństwem. Jak dostanie zaproszenie, to może na miejscu spotkać się z bratem dziadka Kazimierza. Zastanawiała się, co powie John Pawlak, jak zobaczy swoją chrestną córkę po dziewiętnastu blisko latach. Widział ją raz, i to w beciku, kiedy to po raz pierwszy i ostatni odwiedził wieś Rudniki, by zabrać stąd woreczek ziemi na swój przyszły grób w Chicago...

Myślami była daleko stąd, śniąc swój amerykański sen, gdy z daleka doszedł ją głos Zenka, wywrzaskującego piosenkę; „Możesz mieszkać w moim sercu, mam dla ciebie miejsca dość, gdy staniemy na kobiercu, będziesz dla mnie wielki boss”... Śpiewał tę piosenkę zawsze, gdy w jego żyłach buzowała mieszanka alkoholu i pożądania.

Ten stan męża był świetną okazją, by mogła wykorzystać swoją broń...

Zaskrzypiały schody pod chwiejnymi krokami Zenka. Ania odwróciła się twarzą do ściany i przykryła się różowym kocem, ale zadbała o to, by jej nagie biodra wyglądały spod niego kusząco. Zenek wszedł do pokoiku na palcach. Starął się zachowywać cicho, ale kiedy przewieszał przez oparcie krzesła spodnie, z brzękiem posypały się monety. Ania przeciągnęła się leniwie, odsłaniając w tym gości swoje bujne piersi. Zenek przywarł do niej całym ciałem. Jego ręka poszukała piersi Ani, jakby chciał sprawdzić, jak mocno bije jej serce. Odsunęła się do ściany.

— Zostaw...

— Nigdy cię nie zostawię...

— Piłeś!

— Służbowo! Podziękuj mi.

— Za co?

— Mamy traktor! Należy mi się nagroda.

Jego usta wędrowały od jej ramienia ku szyi, potem ku uchu. Ania przywarła do ściany.

— Nie chcę!

— Przekonam cię — wymruczał, czując żar bijący od jej ciała.

— Zostaw mnie w spokoju! Nie mogę być z kimś, kto mnie nie kocha.

— Oszalałaś? Zaraz ci udowodnię, że kocham cię za trzech!

— Jakbyś mnie kochał, to byś mnie puścił do Ameryki!

— Kocie! Kto kocha naprawdę, ten chce mieć tego drugiego bez przerwy przy sobie!

Chciał ją natychmiast przekonać o sile swych uczuć, ale wówczas usłyszał, że albo się zgodzi na jej wyjazd, albo niech zapomni o swoich prawach małżeńskich. Na dowód, że nie są to tylko czcze pogroźki, Ania wyrwała się z jego ramion i położyła się na wersalce, narzucając na siebie różowy kocyk.

— Ultimatum? — zaperzył się Zenek.

— Oszukałeś mnie — powiedziała głosem uwiedzionej dziewczyny. — Obiecywałeś, że zawsze będziesz robił, co ja zechcę.

— Jasne jak plecy anioła — potwierdził ochotczo Zenek. — Bo myślałem, że chcesz tego, co ja!

— Chciałam pojechać do Ameryki, popracować, żebyś miał nowy traktor!

— Już jutro będzie u nas na podwórzu — odparł Zenek triumfalnie. — Nie musisz się fatygować.

— A więc ty jako mąż też nie musisz się fatygować!

— Co ci odbiło? — stanął nad wersalką, przyglądając się ramionom i piersiom Ani, wyłaniającym się kusząco z piany falbanek. — Zaraz cię przekonam, że małżeństwo to przyjemność, a nie obowiązek!

— Zapomnij o tym! — prychnęła jak podrażniona kotka. Nakryła głowę kocem. Zenek bez specjalnego wysiłku przysunął wersalkę wraz z Anią do tapczana. Rozległ się straszliwy hurgot...

Przerażona hałasem Marynia poderwała się na łóżku. Patrzyła na sufit, jakby lada chwila miał jej się zwalić na głowę. Ze zdumieniem spostrzegła, że Kaźmierz siedzi w koszuli na skraju łóżka i ćmi ukrytego w dłoni papierosa.

— Aj, Bożeńciu, a cóż to? — Marynia zerknęła ku górze, na drgającą od wstrząsów lampę. — Burza?!

— Wersalka — spokojnie stwierdził Kaźmierz: Uniósł głowę, jakby poprzez powałę chciał dojrzeć, w którą stronę teraz została przesunięta.

— A ty czego nie śpisz?

— Doczekać się jutra nie mogę — zgasił papierosa o parapet i wyrzucił go przez otwarty lufcik na zewnątrz. — Załatwili my sprawę rozwojową wspólnymi siłami.

— Kaźmierz, może być kłopot — westchnęła Marynia. — Ania do Ameryki jechać napiera sia!

— Ot, durna bździągwa! — obruszył się Pawlak. — Taż jak my traktora zdobyli, to my tu mamy lepszy raj jak w tej Ameryce!

Poklepał poduszkę, szykując się do spania, gdy znów nad ich głowami rozległo się szuranie. Kaźmierz złapał pytające spojrzenie żony.

— Co chcesz, młodzi są, a krew nie woda... — uśmiechnął się, patrząc na rozhuśtaną lampę, jakby po jej tańcu orientował się, co dzieje się na poddaszu. — Dobry to był dzień: Ania z błogosławieństwem Ojca świętego wróciwszy,

Zenek traktora dostawszy; może być, że tej nocy statystycznie nas przybędzie.

Nad ich głowami rozległ się znowu gwałtowny szurgot. Lampa zakołysała się tak silnie, że Kaźmierz z podziwu aż mlasnął językiem o podniebienie: chyba się w nich ta krew zagotowała!

Ania odciągała od tapczanu wersalkę, pokonując opór mięśni Zenka. Ich pojedynek trwał. Ania wiedziała jedno: jak się zaczyna strajk, nie można się ugiąć!

Zenek odczekał, aż dziewczyna znowu położyła się na wersalce tyłem do niego. Podszedł na palcach i bez wysiłku przyciągnął mebel do tapczana, zrywając z żony koc. Wymknęła mu się z ramion i usiadła w koszulce na parapecie okna, jakby gotując się w razie konieczności do samobójczego skoku. Zenek zawahał się, ale w jego żyłach pożar trwał nadal. I to właśnie było jedyną jej nadzieją...

Marynia, wsparta łokciami o poduszkę, z napięciem wsłuchiwała się w tupot bosych stóp wnuczki.

— A cóż oni tam wyprawiają?

— Ot, skleroza z ciebie — mruknął Pawlak. —

Zapomniała, że przez rok po ślubie to nocka nie tylko do spania jest?

— Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żeby ty mnie razem z łóżkiem po izbie ganiał.

— Bośmy aby jeden siennik mieli — przypomniawszy jej Kaźmierz i patrząc w powalę stwierdził z nadzieją, że może za dziewięć miesięcy przyjdzie kołyskę wstawić na miejsce wersalki.

Marynia zrozumiała aluzję. Choć podzielała nadzieje męża, to miała pewne obiekcje.

— A on nie za bardzo napity aby?

— Aj, Mania — odgonił się od tych wątpliwości
niecierpliwym machnięciem ręki. — Ty zawsze uważająca
jak miłicja! Taż łózko to nie motocykl! Jak się trafi wypadek,
to nikt nie ginie, co najwyżej kogoś przybędzie!

4

Nie mogli się doczekać chwili, kiedy na ich podwórze zajedzie żółty, nowiutki traktor. Żeby otworzyć mu wjazd wprost pod wiatę, musieli wyciąć za stodołą topolę.

Kargul i Pawlak przyklękli z piłą po obu stronach drzewa. Ze swego gniazda na stodole patrzyły na nich bociany, jakby zdziwione, że gospodarze wycinają drzewo, które sami kiedyś zasadzili.

— Kaźmierz, a jak będzie kara za niszczenie środowiska?

— Jakież to niszczenie?! Taż sam ja sadził i sam ścinam!

— I sam karę zapłacisz!

— Ot, bestyjnik — sapnął Pawlak. — Jaki to on prorządowy zrobiwszy sia! Ano, łap się za piłę, bo głowę mi tylko moroczysz.

Zazgrzytała piła. Jej zęby nadgryzły pień topoli, ale nie doszły nawet do połowy grubości drzewa, kiedy Kargul przerwał piłowanie i nadstawił ucha.

— Ano zacichnijmy — przekrzywił głowę, łowiąc dalekie dźwięki. — Chyba że to on?

Z daleka niósł się terkot silnika. Pawlak poderwał się na równe nogi, zostawiając piłę w połowie pnia. Poprawił na głowie maciejówkę i nadśluchiwał: cienko coś śpiewa ten traktor; zamiast ryczeć jak lew, to brzęczy niczym komar o zachodzie słońca. Czy aby Zenkowi nie wcisnęli jakiegoś felerneho egzemplarza?

Spośród dojrzewających zbóż wyłonił się na polnej drodze motorower. Perkocąc i prychając zbliżał się do stodół Kargula i Pawlaka. Listonosz wykonał slalom między topolami i nie gasząc silnika wyciągnął z torby kopertę.

— Panie Pawlak, pokwitować proszę!

Skrzywił się Kaźmierz kwaśno, bowiem wszystkie listy, które trzeba było kwitować, zawsze zapowiadały kłopoty: albo podatek, albo karę za brak bosaka na wypadek pożaru, albo odmowę przyznania eternitu na pokrycie stodoły. Tym razem jednak nie mógł nawet przewidzieć, jakie będą konsekwencje otrzymanej korespondencji.

— To list z Ameryki! — listonosz był dumny, jakby był osobistym posłańcem prezydenta Cartera.

Marynia ze zgrozą patrzyła na Anię, która zniosła właśnie z góry tobół ze swoją pościelą i naręcze sukienek, jakby szykowała się do nagłej przeprowadzki. Położyła to wszystko na ławie w kuchni. Stała nachmurzona, wyraźnie oczekując na jakąś reakcję babci.

— A ty co? — Marynia uniosła brodę Ani i próbowała spojrzeć jej w oczy. — Z Cyganami wybiera się?

— Będę spała na dole.

— Ty nie dziwacz, dziecko! Żoną mu jesteś! Przysięgałaś wierną być!

— To on mnie zdradził! — Ania była bardziej nadąsana niż zła. — Przysięgał robić wszystko, co ja zechcę, a teraz nie chce mnie do Ameryki puścić!

— A po co tobie taki świat drogi telepać się?

Ania wzruszyła ramionami: minęły dawne czasy, kiedy wyprawa na jarmark była wielką podróżą! Teraz kto nie podróżuje, ten życie marnuje. Pojechałaby na kilka miesięcy, to i język by opanowała, i dolary zarobiła, a Zenek traktuje ją jak niewolnicę. Niby nowoczesny taki, a zazdrosny jak sułtan! Ale ona już wczoraj znalazła sposób, żeby złamać jego opór: ogłosiła strajk małżeński!

— A po jaką zarazę?! — Marynia załamała ręce nad głupotą wnuczki. — Durna, że nic tylko ryby tobą karmić! A jak się Zenek łamistrajka znajdzie?!

Zaświeciły się oczy Ani, ściągnęła brwi, brodę wysunęła wojowniczo do przodu i w tym momencie stała się tak podobna do swego dziadka Kaźmierza, że nikogo nie mogły zdziwić wypowiedziane przez nią słowa:

— Jak tak, to kolacji on nie dożyje!

Spojrzała groźnie na drzwi, za którymi dał się słyszeć odgłos czyichś kroków. Jeśli to Zenek, to niech wie, że strajk wcale nie został odwołany!

W drzwiach pojawił się Kaźmierz z kopertą w ręku. Wręczył ją Maryni, bo sam nie mógł się już bez okularów niczego doczytać. Ledwie Marynia stwierdziła, że to list od Jaśka z Chicago, Ania — jakby wiedziona jakąś nadzieją — wyrwała jej z rąk kopertę, wydobyła gęsto zapisany arkusz i pokryty stemplami blankiet. Przebiegła wzrokiem linijki listu, po czym — ku zdumieniu Kaźmierza — zarzuciła mu ramiona na szyję i jęła wykrzykiwać: „Jedziemy do Ameryki”!

Podsunęła przed oczy zaskoczonego dziadka oficjalne zaproszenie dla Karguli i Pawlaków. Teraz Zenek nie będzie miał już nic do powiedzenia!

— Oczadziała czy jak? — Pawlak patrzył na wnuczkę jakby była niespełna rozumu. — Żniwa idą, a jej się Amerykę zachciało odkrywać!

— Mnie dziadek może odmówić, ale swojemu bratu chyba nie!

— Dżonu już tak od twoich chrzcin w sześćdziesiątym roku głowę mi tymi zaproszeniami durzy — wyjął kopertę z rąk Ani i rzucił na stół kuchenny jak gracz w karty odrzuca mało wartą blotkę. — A gdzież mnie czas znaleźć, żeby taki szmat drogi kołdybać się...

Ania odwróciła się twarzą do okna, chcąc ukryć łzy, które napłynęły jej do oczu. Przez te łzy dostrzegła Kargula, który po tamtej stronie podwórza, machając białą kopertą, przywoływał donośnym basem Anielkę, jakby miał dla niej radosną wiadomość. Co to mogło być, co nagle tak ożywiło jej drugiego dziadka?

Marynia poszukała okularów i przebiegła wzrokiem linijki napisanego przez Johna Pawlaka listu.

— Kaźmierz! Jaśko pisze, że koniecznie chce nas zobaczyć!

Pawlak odwrócił się od kredensu, z którego wyciągnął pęto kiełbasy i odgryzając spory kawał, powiedział z pełnymi ustami:

— Taż możem się zobaczyć, czemu nie?

Ania, słysząc tę deklarację, odwróciła się od okna cała rozjaśniona.

— Pojedziemy, dziadku?

— A po jaką zarazę? — Pawlak zakrztusił się, zaskoczony wnioskiem, jaki Ania opacznie wyciągnęła z jego poprzedniego zdania. — Ano, niech Dżonu tu znów pofatyguje się. Jest mu co pokazać! Taż traktora my nareszcie dobiwszy się!

6

— A ty co taki zadowolony, jakby rząd upadł? — spytała Aniela Kargulowa, widząc radosny wyraz twarzy męża.

— Do Ameryki mam jechać! — huknął Kargul, machając kopertą. — Jaśko zaprasza.

— Taż on ciebie za wroga miał! Musi wariacji dostał!

— Ot, gada jak koczebicha jakaś! Kiedy to było?! Za sanacji kosą mnie zajechał, a za demokracji rachunek chce spłacić i zaproszenie przysłał!

— Kaźmierz od tylu lat dostaje od Jaśka zaproszenia, a nie jedzie!

— Może to i dla Polski lepiej — stwierdził refleksyjnie Kargul, obserwując przez okno Kaźmierza, który właśnie wyszedł na ganek swego domu nadśłuchując, czy nie nadjeżdża Zenek na nowym ciągniku. — Na eksport posturę on ma prosto marnieńką, jak kozieł czy inna skacina.

— Całkiem jak charakter — przyświadczyła Aniela. Ani przez chwilę nie traktowała poważnie myśli, by jej Władysław miał wraz z Kaźmierzem ruszyć za ocean. Wyjęła z ręki męża upstrzoną stemplami kopertę i chciała ją wrzucić pod blachę kuchni, gdzie wesoło buzował ogień.

— Oczadziała, czy jak? — Kargul w ostatniej chwili wyrwał jej list z ręki. — Bez tego Ameryka przede mną zamknięta!

— Ot, stary bzdęk — Aniela wzruszyła ramionami. — Na stare lata jemu wanderować zachciałszy się. W Warszawie jeszcze nie był, a do tej Ameryki chce jechać!

— Do Warszawy ja bym musiał jechać za własne pieniądze, a do Ameryki za Jaśkowe dolary.

— Awo! Po co ty tam pojedziesz?!

Anielcia, z zadartą głową patrzyła na niego jak na słup telegraficzny. Pochylił się ku oknu, spojrzał na Pawlaka i półgłosem wyznał żonie prawdziwy motyw swoich podróżniczych planów:

— Po co? A choćby po to, żeby na złość zrobić temu komisowi, co się każe na ramie od rowera wozić!

W tej chwili rozległ się rześki terkot traktora. Kargul wcisnęła kopertę w kieszeń złachanej marynarki i ruszył, by powitać nowy etap rozwoju bazy technicznej połączonych gospodarstw, które dawniej dzielił płot, a teraz łączył zięć i traktor.

Zdobycie ciągnika Ursus C-330 było nie tylko dowodem tego, że ich gospodarka się rozwija, lecz także świadczyło o istnieniu ostatniego ludzkiego uczucia w budującym socjalizm społeczeństwie, jakim było poparte łapówką kumoterstwo. Obaj gospodarze, wpatrzeni w zbliżający się pełną drogą żółty jak dojrzała dynia ciągnik, zupełnie zapomnieli, że nie dokończyli ścinania topoli. Drzewo nadal zagradzało od strony stodół wjazd pod wiatę. To, co nadjeżdżało pełną drogą, to nie był tylko traktor. To była lepsza przyszłość. To było zwycięstwo pieniądza i kumoterstwa nad bezduszną biurokracją! To był jeszcze jeden dowód, że na samych swoich nawet w socjalizmie nie ma mocnych...

Zenek kołysał się na siodełku ciągnika z miną dowódcy czołgu, który przyniósł mieszkańcom Rudnik wolność. W klapie jego marynarki tkwił goździk, zupełnie jakby Ursus był jego narzeczoną, którą prowadzi nie pod wiatę, lecz przed ołtarz. Mrugał światłami, naciskał klakson, machał ręką, jakby pozdrawiał wiwatujące tłumy. Na razie w komitecie powitalnym był tylko Pawlak i Kargul. Kaźmierz objął maszynę nieomal miłosnym spojrzeniem, ale wyraził przy tym obawę, czy ona aby nie felerna.

— Taż ciągnik to nie twoja kobyłka. On na gwarancji — wyśmiał Kargul małostkową podejrzliwość sąsiada.

— Ot, pomorek! — A Bierut, Gomułka i Gierek to nie gwarantowali, że socjalizm to najlepszy ustrój?! — zaperzył się Kaźmierz. — I z tej gwarancji aby bezlitosna rozpierducha zrobiwszy sia!

— Teraz więcej czasu na życie będzie — Kargul przeciągnął wielką dłońią po oponie tylnego koła z tak lubieżnym wyrazem twarzy, jakby dotykał babskiego kolana, a nie produktu fabryki opon „Stomil”.

— A ona wołała fiacika! — Zenek na widok nadchodzącej Ani zeskoczył z siodełka ciągnika. Patrzył na nią z wyrzutem. Nie mógł darować, że minionej nocy odmówiła mu nagrody za jego wkład w walkę o zdobycie traktora: to on się poświęca i upija się z magazynierem Fąfarą dla dobra sprawy, a ona odwraca się do niego plecami? Strajk zapowiada, zupełnie jakby żyli w kapitalizmie?!

— Sama sobie kupię fiacika — Ania zadarła głowę i wysunęła dolną szczękę, przez co znów upodobniła się do swego dziadka Kaźmierza. Pawlak miał zwykle taką minę w chwili, kiedy ogłaszał, że zgadza się na każde poglądy, byle nie były one sprzeczne z jego poglądami.

— Ciekawe za co? — Zenek uśmiechnął się szyderczo, żeby Ania odczuła całą nierealność swoich marzeń. Gdyby Ania podeszła, pocałowała go w nagrodę za to, że jeszcze teraz gnębił go okrutny kac po wczorajszym służbowym pijaństwie, może by jej darował tę próbę strajkowego szantażu, ale ona pomachała w powietrzu białą kopertą i obwieściła triumfalnie, że zarobi na fiacika w Ameryce.

— A ja cię nie puszcę!

— Pojadę!

— Sama? Nigdy i nigdzie!

— Z dziadkiem pojadę!